

NARRACJE W PSYCHOTERAPII – UJĘCIE FENOMENOLOGICZNE

Małgorzata Opoczyńska

Instytut Psychologii
Uniwersytet Jagielloński

*Świat nie jest tym, co myślę,
ale tym, co przeżywam.*

Merleau-Ponty, 2001, s. 14

Wstęp

O tym, że tytuł tekstu zazwyczaj luźno wiąże się z jego treścią (skromna okoliczność, z której daje się wywieść wnioski nieoczekiwane, choćby ten, powtarzany tu za J.L. Borgesem, że bliżej ptakom wyrastającym z gałęzi do liści, niż słowom do rzeczy), przekonałam się i tym razem, gdy zaczęłam zastanawiać się, czy wiem na pewno, o czym chcę pisać. Bo przecież słowa „narracja” używam bardzo rzadko, najczęściej na zajęciach dla studentów psychologii, nigdy zaś wtedy, gdy myślę o psychoterapii, a ponadto nie wiem, czym jest fenomenologia – bardziej niż z nauką ścisłą kojarzy mi się bowiem z poezją.

Wygląda więc na to, że chcę pisać o tym, na czym się nie znam. Ponieważ jednak myślę, być może naiwnie, że „nieznanie się na rzeczy” nie musi skończyć się „pisaniami od rzeczy”, spróbuję. Zacznę od pytania sprowadzającego każdą poezję do wymiaru prozaicznego: „Co znaczy ujęcie fenomenologiczne”, potem wypisów kilka z psychoterapii, następnie spróbuję opisać doświadczenie „przed narracją”, zakończę „zamiast narracji”.

1. Co znaczy: „ujęcie fenomenologiczne”?

We wstępie do *Fenomenologii percepcji* M. Merleau-Ponty pisał, że fenomenologia jest filozofią, której wysiłek zmierza do odnalezienia naiwnego – a więc niepoprzedzonego refleksją – kontaktu ze światem,

który dla każdego fenomenologa dany jest zawsze tu-oto jako nieusuwalna obecność.

Jest to filozofia – pisał – mająca ambicje bycia „nauką ścisłą”, ale zarazem filozofia zdająca sprawę z przestrzeni, czasu, świata w ich kształcie „przeżywanym”. Jest to próba bezpośredniego opisu naszego doświadczenia, takiego, jakim ono jest, bez względu na jego psychologiczną genezę i niezależnie od wyjaśnień przyczynowych, jakich mogą dostarczyć naukowcy, historycy lub socjologowie (zob. Merleau-Ponty, 2001, s. 5). Chodzi o to, by opisywać, a nie o to, by wyjaśniać albo analizować [...]. By powrócić do rzeczy samych, to znaczy, do tego świata sprzed poznania, o którym poznanie stale mówi i w stosunku do którego każde naukowe określenie jest abstrakcyjne, zależne i ma tylko charakter znaku, jak geografia w stosunku do pejzażu, który nauczył nas najpierw, czym jest las, łąka, rzeka (zob. Merleau-Ponty, 2001, s. 7).

By odzyskać ów zagubiony przez naukę z jej mapami, diagramami, pojęciami świat, trzeba, jak mówią fenomenologowie, „rozluźnić nici zażyłości” wiążące nas z nim¹, dające pozór jego oczywistości: świat jest tym, co o nim się mówi, uporządkowany w teorii świat oznacza porządek świata. Dopiero wycofując się z tego, co wie się na temat świata – taki jest istotny sens redukcji fenomenologicznej – można doświadczyć świata: zobaczyć go „i” odkryć, że jest on „dziwny i paradoksalny” (zob. Merleau-Ponty, 2001, s. 11). I zadziwić się nim, i postawić pierwszy krok na drodze jego poznania². Faktycznie, zdaniem fenomenologów, krok pierwszy i jedyny, zawsze bowiem jesteśmy na początku, a fenomenolog jest kimś, kto nieustannie rozpoczyna:

To znaczy, że nie uważa za raz na zawsze ustalone niczego, o czym ludzie lub uczeni w swym przekonaniu wiedzą. Znaczy to również, że filozofia [fenomenologiczna] nie może uważać samej siebie za coś utrwalonego w prawdach, jakie mogła wypowiedzieć, że jest wciąż ponawianym doświadczeniem własnego początku, że cała polega na opisywaniu tego rozpoczynania, a wreszcie, że radykalna refleksja jest świadomością własnej zależności od życia nierefleksyjnego, które jest sytuacją wyjściową, stałą i ostateczną (zob. Merleau-Ponty, 2001, s. 12).

Jeśli przyjąć ten proponowany przez M. Merleau-Ponty’go punkt widzenia na fenomenologię, wówczas określenie zawarte w tytule: „narracje w psychoterapii – ujęcia fenomenologiczne” należałoby odczytać jako zapowiedź próby opisu tego, jak narracje z czasu psychoterapii dane są w doświadczeniu. Narracje nie abstrakcyjne, ale „te-

¹ Lub, jak mówią poeci (zdaniem wielu, obok malarzy, urodzeni fenomenologowie): „odkopać go spod warstw dawnych opisów, przywrócić światłu mocą trzeźwej archeologii umysłu” (zob. La Capria, [w:] Matvejević, 2005, s. 5).

² „Stojąc naprzeciw poszukiwanego przedmiotu – notowała S. Weil – raczej cofnąć się. Skuteczne jest tylko to, co nie jest bezpośrednie. Nie działamy nic, jeśli nie cofnęliśmy się najpierw” (zob. Weil, 1996, s. 311).

-oto” towarzyszące spotkaniu konkretnego pacjenta z konkretnym terapeutą. Chcąc nie chcąc, trzeba by mówić o własnym doświadczeniu, próbując opisać, jak narracje pacjenta ukazują się mojemu, jako terapeutcie, przeżywaniu. Chcąc nie chcąc, trzeba by też rozluźnić „nici zażyłości”, jakimi zdążyło się już związać swoje doświadczenie i spróbować mówić tak, jakby się dopiero pierwszy raz o nim mówiło. Chcąc nie chcąc, trzeba by też pogodzić się z tym, że opisując to doświadczenie, będzie się zawsze na początku.

2. Wypisy z psychoterapii

Próbę opisu doświadczenia zacznę od przywołania sytuacji, które zapadły mi w pamięć szczególnie.

Sabinę znam od paru lat. Widujemy się raz na dwa tygodnie w ośrodku rehabilitacji dla dzieci z porażeniem mózgowym. Sabina. Dziewczynka, z czasem dziewczyna, kobieta na wózku. Cała wzdryga się, gdy ktoś delikatnie zapuka do drzwi. Kiedy skończyła osiemnaście lat, musiała opuścić dom dziecka i wrócić do domu. Do babci i do rodziców, którym sąd przed laty odebrał prawa rodzicielskie. Nadal piją. Nie pracują. Mama nie obcina sobie nawet paznokci u nóg. W domu dziecka zostało młodsze rodzeństwo Sabiny. Sabina szczególnie mocno tęskni za ośmioletnim bratem, który płacze za każdym razem, gdy po odwiedzinach w domu musi wracać do domu dziecka. Nie idzie mu w szkole. Będzie powtarzał pierwszą klasę. Sabiną opiekuje się osiemdziesięcioletnia babcia. Pomaga jej wstać z łóżka, podsuwa balkonik, by mogła o własnych siłach dojść do łazienki, robi jej śniadanie, cierpliwie słucha jej połamanego głosu, aż ułoży się w jakąś prośbę, jakieś wyznanie, skargę jakąś. Sabina boi się, co będzie, gdy babcia kiedyś umrze. „Pani Małgosiu! Co ze mną będzie, jak babcia umrze? Gdzie ja pójdę? Ja nie chcę zostać w domu”!

Mogło minąć pięć miesięcy, odkąd zaczęłam spotykać się z kobietą w średnim wieku, od roku wdową, matką dwóch dorastających synów. Gdy przyszła pierwszy raz, nie spała od wielu miesięcy, ledwie jadła dreczona myślami o odebraniu sobie życia. W czasie ostatnich spotkań, jeszcze pełna lęku, nieśmiało zaczęła mówić o przyszłości. Że może jednak jakaś, może potrafi dalej, choć poumierali jej najbliżsi: najpierw ojciec, potem siostrzeniec, a ostatnio mąż, ukochany. Niedokończony remont domu, który rozpoczął niedługo przed swą śmiercią, wciąż jeszcze przypomina jej o niewytłumaczalnym końcu. Boi się, że odtąd każdy początek będzie zapowiedzią przedwczesnej śmierci. Po-

mimo lęku odważa się po raz pierwszy od dawna mówić o przyszłości. Tydzień później spotykamy się znowu. Od pierwszej chwili czuję, że stało się coś, co „miało przecież się nie stać”. Kobieta długo milczy, wreszcie patrząc na mnie, mówi: „Niech pani sama powie. Jak tu zbierać się do życia? Po co to wszystko, ta terapia, nadzieja. Czy to zły los? Fatum jakieś? Przekleństwo? Zmarł brat męża. Nagle. Był dla moich synów jak ojciec”.

Para ludzi w średnim wieku. On i ona. Wchodzą do gabinetu, widzę ich po raz pierwszy. Zapraszam, by usiedli. Pytam, jak zwykle przy takich okazjach, co ich sprowadza do psychologa, w czym mogę pomóc, jeśli pomocy oczekują. Przypuszczam, że gdy mówię do nich, myślami jestem jednocześnie przy tych, którzy czekają za drzwiami na spotkanie. Było tych osób wtedy więcej niż zwykle (jakiś błąd w rejestracji?), martwiłam się, czy z każdym zdążę porozmawiać. I wtedy usłyszałam głos tamtego mężczyzny: „Straciliśmy syna. Miał siedemnaście lat. Trzy miesiące temu potrafił go pijany kierowca. Syn wracał do domu od kolegi. Dwa dni później zmarł. Nie odzyskał przytomności”.

Piękna, smutna kobieta. Parę lat temu, jak mówi, zachorowała. Znalazła się w szpitalu wbrew swojej woli. Gdy wyszła z niego, wiedziała o sobie, że choruje na schizofrenię. Od tamtej pory nie pracuje zawodowo, nie spotyka się ze znajomymi, rzadko wychodzi z domu. Kiedyś, wspomina, była bardzo aktywna, dużo pracowała, miała mnóstwo znajomych, podróżowała, planowała, marzyła. Teraz otacza ją pustka. Kawa i papierosy to jedyne chwile szczęścia w ciągu dnia. Szczęście jest też wtedy, gdy leki zaczynają działać, co poznaje po chwilowym spadku niepokoju i napięcia. „Ale wtedy wyraźniejsza staje się pustka. Nie pracuję, nie założyłam rodziny, nie urodziłam dziecka. Moje życie jest puste”.

Stary mężczyzna. Przychodzi do gabinetu – jak mówi – w drodze do Bełżca. Przyprawdza go córka, elegancka, zadbana, w średnim wieku kobieta. On nie ma czasu na rozmowę – jest przecież w drodze – ona zdaje się nie przejmować jego pośpiechem, zatrzymuje go, prosząc mnie o rozmowę. „Zamordowali pół miliona Żydów. Wie pani? Pół miliona!” „Tato, to było dawno”. „Co ty pleciesz! Dawno?! Teraz! Nie wiesz? Nie słyszałaś?” „Tato, dawno. Sześćdziesiąt lat temu”. „Może masz rację. Ale i tak tam jadę. Teraz. Zaraz. Chodźmy. Już”.

3. Przed narracją

Historie właśnie zapisane zdarzyły się jakiś czas temu i gdy teraz spróbuję zdać sprawę z ich kształtu przeżywanego, dobrze wiem, że ten pierwszy na zawsze utracony i mówić mogę tylko o tym, co wyrzeźbiły z niego pamięć i czas. Ale najpierw o tym, co rzeźbiąc, odrzuciły.

W słowach pacjenta wypowiedzianych w czasie spotkania psychoterapeutycznego – nawet jeśli po jakimś czasie można ułożyć z nich opowieść (narrację) mającą swój początek, rozwinięcie i gdzieś na horyzoncie zakończenie, oraz bohatera uwikłanego w czas i przestrzeń, z którymi się zмага – w pierwszej chwili, gdy docierają do mnie, nie słyszę opowieści. W moim przeżywaniu nie układają się nawet w pojedyncze zdania, a więc w ciąg wyrazów zakończonych kropką, z których jedne pokazują mi tego, kto mówi, inne zaś to, o czym mówi³. Rozpoznanie w nich narracji, a więc splotu powiązanych z sobą zdań niosących znaczenie, przychodzi znacznie później. To zresztą niezwykle ciekawe pytanie, jak rodzą się opowieści i co jest ich twórczym (Amoz Oz w *Opowieść się rozpoczyna* znak zapytania umiejscowi jeszcze głębiej: „Kiedy narracja w istocie się rozpoczyna? Czym jest w istocie początek narracji?”). Nie mam jednak o tym pisać, przybliżę jedynie tę zagadkę zasłyszaną gdzieś opowieścią, że podobno w każdej garstce piasku jest jedno ziarenko, które ją podtrzymuje, nikt jednak nie wie, gdzie ono jest (zob. Tabucchi, 2005, s. 47).

Więc jeśli w słowach pacjenta nie rozpoznaję narracji ani nawet zdań mogących ją zapowiadać, co słyszę?

To, co słyszę, dociera do mnie zawsze w pierwszej chwili jako pytanie i prośba zarazem. Pytanie nie w tym sensie, że pacjent o coś mnie pyta. Raczej w tym, które w każdym znaku zapytania każe dostrzec niepewność. Pacjent mówi i w tym, co mówi, rozpoznaję znane ze słyszenia słowa. Ktoś umarł, ktoś stracił pracę, inny zdrowie, nadzieję, ktoś odnalazł sens. A jednak nie wiem, co mówi, czy mówi do mnie

³ Już po napisaniu tych słów, w *Innej Wenecji* P. Matvejevića znalazłam opis podobnego doświadczenia. Matvejević wspomina Vidę, „starego człowieka, prawie ślepego, nierozróżniającego twarzy ani przedmiotów, tylko same kontury”, którego spotykał nieopodal *Banco Giro*, podziemnego przejścia nieopisywanego w przewodnikach po Wenecji. Vido przechodzących mimo zatrzymywał opowieściami „o rzeczach mało znaczących i takich, których prawie nikt nie pamięta”. Słuchając ich, Matvejević potem notował: „Nie wiem, gdzie kończą się słowa i zdania, a zaczynają inne, gdzie można postawić przecinki i kropki i nie naruszyć przy tym barwy głosu, akcentu mówcy (...). Zastanawiałem się, czy jest jakiś związek między tym, co mówi, a miejscem gdzie się pojawia, przy Banco Giro, między nim samym a wiatrem ciągnącym przez ciasne uliczki i kanały” (zob. Matvejević, 2005, s. 72–73).

i po co. Nadmiar namysłu – być może – pozbawił mnie na zawsze tej naiwności, z jaką dwuletnie dziecko przyjmuje każde słowo i za każdym razem, gdy mówi się do niego, z intencją przecież nie jedyną, a co więcej, dla nas samych nieodgadnioną, odpowiada pewnie i bez wahania. Tak jak ostatnio moja kilkunastomiesięczna bratanica. Dawno jej nie widziałam i – czy to z chęci zaprzyjaźnienia się z nią, z ciekawości, czy już mówi (bo przecież nie z niewiedzy), zapytałam ją: „czy Madzia ma nóżki?”, a ona natychmiast dotknęła je, uniosła do góry i niemal wetknęła mi je w oczy, pewnie dla pewności, czy je widzę.

A ja? Inaczej niż to dziecko wiem, że zbyt pochopnie byłoby w słowach pacjenta rozpoznać prosty komunikat stwierdzający jakiś stan rzeczy, np. dotyczący jego doświadczeń. Doświadczenie drugiego jest radykalnie niekomunikowalne – tego nauczył mnie P. Ricoeur⁴. Już prędzej mogę rozpoznać w nich wehikuły znaczeń, lecz przecież znowu, pośpieszyłabym się, gdybym potrafiła powiedzieć jakich. Ten sam P. Ricoeur powtarzał wielokrotnie, że mówiąc, komunikujemy jedni drugim znaczenie stanu rzeczy, nie rzecz samą, nie doświadczenie samo – to jest nieprzekazywalne – ale znaczenie stanu rzeczy⁵. To zaś nie tkwi w słowie, ale niczym aura jakaś, mgiełka (oba określenia zawdzięczam L. Wittgensteinowi), otacza słowo w każdym jego zastosowaniu, splatając w jedno to, co nasz analityczny rozum rozdziela potem na **akt lokucyjny** (co drugi mówi), **interlokucyjny** (do kogo mówi), **illokucyjny** (co robi, mówiąc), wreszcie, najmniej odgadniony, **akt perlokucyjny** (skutki, jakie mówiąc, wywołuje)⁶. Materia znaczenia, skoro za każdym razem rodzi ją słów użycie, jest ulotna i zmienna. Jak napisałam kiedyś – poruszona uwagą P. Ricoeura, że intencja autora słów, jako fakt psychiczny, jest czymś na zawsze utraconym – ledwie zaznaczona rozmaitymi intencjami mówiącego. Te zaś zmieniać się mogą już w trakcie mówienia, tak że na echo słów wypowiedzianych z pewną intencją nakładają się słowa kierowane inną, z wyglądu takie same, lecz w różnym znaczeniu.

⁴ „Doświadczenie jako doznane przeze mnie, jako przeżyte, pozostaje czymś prywatnym, jednakże jego sens, jego znaczenie, staje się publiczne. Z tej perspektywy komunikacja stanowi przezwycięzenie radykalnej niekomunikowalności żywego doświadczenia jako takiego” (zob. Ricoeur, 1989, s. 85).

⁵ Zob. także wykład św. Tomasza z Akwinu na temat stopni formowania się słowa: od *verbum cordis* (czystej kontemplacji bytu w oderwaniu od relacji komunikowania), poprzez *verbum interius quod habet imaginem vocis* (słowo formowane z myślą, by być zakomunikowane), aż po *verbum exterius* (słowo-znak, użyte w procesie komunikacji). W istocie owe stopnie formowania się słowa opisują proces abstrahowania od pierwotnego, niezróżnicowanego doświadczenia, a *verbum exterius* nie pokrywa się nigdy z *verbum cordis* – jest ledwie jego znakiem „na próbę” spinającym dane słowo z całością doświadczenia (zob. Krąpiec, 1993, s. 84–86).

⁶ Mówiąc ściślej, P. Ricoeur uważał, że znaczenie aktu mowy jest korelatem aktu lokucyjnego, perlokucyjnego, illokucyjnego i interlokucyjnego (zob. Ricoeur, 1989).

Znaczenie słów ujawnia się w ich użyciu, lecz i ta od L. Wittgensteina pochodząca podpowiedź niewiele zmniejsza niepewność, z jaką przyjmuję słowa pacjenta, bo nawet jeśli w rozmowie z nim wspólnie rozpoznamy (a może ustalimy) to, co mówi, do kogo i po co, nadal zostaje ta niepewność związana z tym, co robi, mówiąc:

Nazywamy rzeczy, a następnie możemy o nich mówić; odnosić się do nich w naszej mowie. Jak gdyby z aktem nazwania dane już było to, co będziemy robić dalej. Jak gdyby było tylko coś jednego, co nazywa się „mówieniem o rzeczach”. Tymczasem zaś za pomocą naszych zdań robimy rzeczy najróżniejsze. Pomyślmy o samych tylko wykrzyknikach, z ich zupełnie różnymi funkcjami. Wody! Precz! Au! Pomocy! Pięknie! Nie! Czy nadal skłonny jesteś uznawać te wyrazy za „nazwy przedmiotów”? (zob. Wittgenstein, 2000, s. 22–23).

Z łatwością przypominam sobie wiele takich słów-wykrzykników, którymi porusza mnie pacjent: „Nie mogę dalej!”, „Nie chcę!”, „Nie potrafię!”, „To nie ma sensu!”. I muszę przyznać rację Wittgensteinowi, choć to bardzo namysł nad językiem komplikuje, że słowa nie są nazwami przedmiotów. Ani też, dodam, niezawodnymi wehikułami znaczeń.

Znaczenie tkwi zawsze w kontekście, w jakim pojawia się czyjaś mowa, to tym razem echo słów H.-G. Gadamera, i być może właśnie one zmniejszałyby wyjściową niepewność, z jaką przyjmuję słowa pacjenta – można pomyśleć, że skoro wspólnie z nim ustalimy kontekst, w jakim następnie poszukamy znaczeń tego, co mówi, to co mówi stanie się bardziej jasne – gdyby nie ich dopełnienie:

Znaczenie danego słowa nie wyznaczają jednak wyłącznie system i kontekst. Owo pozostawanie w kontekście oznacza zarazem, że słowo nigdy nie uwalnia się całkowicie od wieloznaczności, właściwej mu nawet wówczas, gdy kontekst czyni każdorazowy sens jednoznacznym. Tym, co obecne, jest nie tylko sens, jaki przypada słowu w danej wypowiedzi. Współobecne jest tu też to, co inne, i obecność tego wszystkiego, co w ten sposób współlistniejące, stanowi o sile ewokacyjnej żywej mowy (zob. Gadamer, 2003, s. 23).

Każde słowo zatem wylania się z bezmiaru tego, co przed nim⁷ i dlatego, choć potrafimy, by nie tracić gruntu pod nogami, przypisać słowu znaczenie jednoznaczne (czy już samo rozpoznanie w słowach części zdań czy opowieści nie jest takim łapaniem gruntu pod nogami?) – słowo nigdy nie uwolni się od swej wieloznaczności. Słyszymy w nim to, co potrafimy usłyszeć, podczas gdy jego znaczenie wykracza poza dostępny naszemu spojrzeniu horyzont, wskazując na ukryte za nim **inne**.

⁷ Świat jest przed słowem, tak jak jest przede mną, gdy na niego patrzę, a owo „przed” znaczy tu: dalej niż słowo i spojrzenie sięga. Nazwałam to „dalej” bezmiarem, bo jak inaczej nazwać bezgraniczne?

Ale też słowa pacjenta, których dotyk czuję jak niepewność, są dla mnie jednocześnie jak prośba. Nie wiem, o co pacjent mnie prosi, ale wiem, że mówiąc do mnie, właśnie mnie prosi. Chce, bym mu odpowiedziała? Przecież musi wiedzieć, że tak jak on, nie rozumiem tej prośby (inaczej nie dziwiłby się temu, co mówi na marginesie, niejako zaznaczając, że „mówi bez sensu”). Więc prosi tylko o to, bym go wysłuchała?

Niepewność tego, co słyszę, przychodzi jednocześnie z pewnością, że mam odpowiedzieć, choćby samym słuchaniem. Choć przecież nie zawsze chcę słuchać, jak wtedy, gdy czyjś ból każde słowo czyni nie na miarę, niestosownym i niepotrzebnym. K. Jaspers nazywał te sytuacje przerażającego milczenia bytu **granicznymi** i zapisywał z nich walkę, winę, śmierć, cierpienie, przypadek (zob. Jaspers, 1990, s. 407). Jednym ruchem ręki da się zapisać życie, które zanim stanie się pismem, wcześniej mową, rwie się, nie dając związać żadnym słowem. W takich sytuacjach – do niektórych powróciłam na początku – jest tylko rozpadlina, może też, jak mówił P. Ricoeur, gdzieś resztki pozrywanych nici narracyjnych (zob. Ricoeur, 1992, s. 59). W nią wrzucony potrafię wydać jedynie niemy głos skargi: dlaczego ja? dlaczego on? dlaczego tak? dlaczego mam słuchać? dlaczego odpowiadać? (zob. Ricoeur, 1992, s. 62). Krzyk pytania bez odpowiedzi. Słowa utraconemu zbyt cenne?

Co jednak wynika z tego namysłu nad słowem, od którego wolne jest spojrzenie dziecka i tych, których błogosławieństwo jakieś (często tak właśnie myślę) rozumu pozbawiło – oprócz większej jeszcze niepewności niż ta, której doświadczam, słuchając pacjenta?

Słowa pacjenta kierowane do terapeuty w czasie psychoterapii nie są, jeszcze raz powtórzę, nazwami przedmiotów, osób, zdarzeń ani ich reprezentantami, ani – gdyby ktoś tak wolał powiedzieć – ich lustrzanym odbiciem⁸. Nie mogą więc być narracją, jeśli tę rozumieć jako opowieść o bohaterze zmagającym się ze zdarzeniami, w jakie jest uwikłany. Prędzej już, jak pisał K. Jaspers, są „wyrazem spełnień, ich przypomnieniem, zachętą do nich” (zob. Jaspers, 1990, s. 267). Choć sama wolałabym powiedzieć, że są śladami pewnego milczenia: wyjściowego, stałego i ostatecznego⁹, z którego wyrastają i do którego powrócą, gdy staną się nie na miarę, daremne czy niepotrzebne. Podobnie rzecz ma się z ich znaczeniem – nie wyczerpuje się ono nigdy w tym, co powiedziane, niesione przez słowa jak i przez brak słów

⁸ Choć może właśnie ta metafora jest najwłaściwsza, skoro zwierciadła – wbrew nadziejom – nigdy nie odbijają wiernie, a ich funkcja polega na tym, „by wciągnąć do wnętrza to, co jest mu najpełniej obce” (zob. Foucault, 2000, s. 37).

⁹ Tak jak wyjściowe, stałe i ostateczne jest życie nierefleksyjne, od którego zależność – dana nam w akcie radykalnej refleksji – tak przeraża.

może pozostać jedynie domysłem, „ruchem ku miejscom, które nie mają jeszcze kształtu”¹⁰, a każda próba schwywania w powiedzianym niepowiedzianego, w śladzie doświadczenia, które je wyźłobiło, „zostawia w palcach jedynie odrobinę słownego tworzywa” (zob. Merleau-Ponty, 1999, s. 165). Milczeniem też są ślady, jakie słowa po sobie zostawiają. Nic bowiem bardziej, niż echo słów powiedzianych, nie daje się zamienić w dyskurs. „Skutki mowy”, przypominam jeszcze raz dobitne słowa P. Ricoeura, „są najslabiej komunikowalnymi aspektami mowy” (zob. Ricoeur, 1989, s. 87)¹¹.

4. Zamiast narracji

Pora na podsumowanie, choć może przedwcześnie, skoro jest się na samym początku.

Próbowałam, idąc za namową fenomenologów, opisać w kształcie przeze mnie przeżywanym sytuacji, w których pacjent w czasie psychoterapii do mnie mówi. Gdy teraz, już z dystansu, patrzę na ten zapis, odnajduję w nim ledwie ślad wydarzenia, jakim za każdym razem jest spotkanie terapeuty z pacjentem, każde słowo, które między nich pada.

Wydarzenie, taka jest jego natura, jest zawsze jednorazowe, momentalne i chwilowe. „Pojawia się i znika” – znów przypominam, co powtarzał P. Ricoeur. Jest więc nieuchwytnie, a słowa, które je próbują zatrzymać, zawsze spóźniają się, nie nadążając za nim. Ledwie chwytają jego cień. I ten schwytny nazywają. Narracja, tak myślę, jest jednym z imion tego cienia¹².

¹⁰ Jak „prawdziwość” szukana przez fenomenologów i poetów (zob. Starobinski, [w:] Jaccottet, 2005, s. 7).

¹¹ Na marginesie uwaga: jeśli przyjąć punkt widzenia P. Ricoeura, jak traktować doniesienia o rezultatach psychoterapii, wyliczające jej czynniki i skutki we wszystkich dostępnych językach? Z czego faktycznie zdają sprawę?

¹² Inspirującą, plastyczną i zabawną zarazem ilustrację cienia wydarzenia, jakim jest narracja o nim, odnalazłam w książce A. Tabucchiego *Tristano umiera*. A. Tabucchi pisze, że słowa ludzą się tylko, iż oddają rzeczywistość. Według niego, opisują jedynie mechanizm. Tabucchi przezornie nie dodaje: czego mechanizm, bo przecież nie rzeczywistości, skoro słowa ludzą się, że ją oddają. Prędzej opowiadania o rzeczywistości, lecz najpewniej opowiadania i słuchania (mechanizm nie do opisanego przez naukę, lecz znajduję w tym pociechę, jak zawsze wtedy, gdy czuję, że wymykam się władzy liczb). Pod tym mechanizmem, pod narracją „klębi się życie: jakbyś unosił kamień i pod spodem odkrywał mrowisko, mrówki uciekają na wszystkie strony (...) nazywamy to mrowiskiem i rozumiemy się, lecz mrowisko składa się z mrówek, a tymczasem wszystkie uciekły. Co ci pozostaje? Dziura” (zob. Tabucchi, 2005, s. 153).

Powiedzieć o wydarzeniu spotkania i rozmowy terapeuty z pacjentem, że jest współkonstruowaniem narracji, ich dekonstrukcją i rekonstrukcją, że jest procesem negocjowania ich sensów, to przedwcześnie uciec od niejednoznaczności, którą owo wydarzenie nas dotyka¹³. I zaskakuje za każdym razem, jeśli oczywiście pozwolimy naszym przyzwyczajeniom, nastawieniom i uprzedzeniom (a wielką ich część kryje język) zejść na dalszy plan. To tak, jakby pejzaż z jego miejscami nieodgadnionymi zastąpić mapą, na której nie ma białych plam, lub też jakby obecność bliskiego chcieć zastąpić jego cieniem. W pewnym sensie taka redukcja wydarzenia do narracji jest jego okaleczeniem. Wprawdzie, z jednej strony, pozwala o nim w sposób spójny mówić, dając być może przy tym pewność, że ma się nad nim władzę (nie zginie w niepamięci, można je „odwracać”, opowiadać na nowo)¹⁴, z drugiej strony jednak, nie dopuszcza do głosu historii alternatywnych, powiem o nich: antyhistorii, nieodpowiadających naszym gustom przyzwyczajonym do jedności miejsca, czasu i akcji, dla których nie starcza nie tyle słów, ile gramatyki¹⁵.

Nawet jeśli w słowach o „okaleczeniu” wydarzenia narracją, która je opowiada, tkwi pewna przesada, nie ma jej już, jak sądzę, gdy się powie o ryzyku rozpisywania wydarzenia na głos narracji.

W każdym słowie pacjenta, w każdym czyimś słowie, może znaleźć swój początek nieskończenie wiele opowieści (a każda opowieść może być rozbita na tysiąc jeden słów). Dobrze to znane każdemu tera-

¹³ Bo przecież czy na pewno w procesie psychoterapii najważniejsze jest znaczenie? I czy „od rzeczy” będzie, jeśli się powie, że uzgodnione znaczenia nic nie znaczą? Jak nagie fakty, których się szuka, a znalezione okazują się bez znaczenia? „Biada panu, jeżeli czyta pan wnikliwiej [słucha, patrzy, mówi], zrujnuje pan sobie wszystko, co czyta. Obojętnie co pan czyta, i tak w końcu okaże się śmiechu warte i będzie w końcu całkiem bez wartości. Niech się pan wystrzega wnikliwego patrzenia na dzieła sztuki, [na człowieka], wszystko sobie pan bez wyjątku obrzydzi, nawet to, co najbardziej pan wielbi” (zob. Bernhard, 2005, s. 41).

¹⁴ Choć może równie ważne jest rodzące się wraz z narracją poczucie, że to, o czym się mówi, jest prawdziwe. Prawdę „nazywa się po imieniu”, „czarno na białym pisze”, im bardziej konkretnie, tym prawdziwiej – czy nie taki jest utrwalony w dziejach ideał prawdziwości? Zob. uwagi krytyczne E. Lévinasa poświęcone nowożytnym teorii poznania przywiązanej do pojęcia prawdy rozumianej jako treść: „Prawda wyraża się poprzez słowa, których pierwotną funkcją jest oznaczanie znaczenia, na którym może się oprzeć samotnicza i milcząca myśl, a nie przyzywanie rozmówcy” (zob. Lévinas, 2000, s. 23).

¹⁵ Z lubością wczytuję się w zapiski z podróży A. Stasiuka, pełno w nich takich antyhistorii, a nadto przewrotny (w stosunku do psychologii narracyjnej) sens, który je uzasadnia: „Zdarzenia dotyczą się, przechodzą wskroś siebie uwolnione od logiki następstwa, przykrywają przestrzeń i czas równą, półprzejrystą warstwą. Pamięć odtwarza je w tył i w przód albo równolegle, i nic im od tego nie ubywa. To jest jedyny sposób na to, by sens nie podciął nam nóg i nie wytrącił z ręki tego, co chcemy schwytać” (zob. Stasiuk, 2004, s. 171–172).

peucie doświadczenie: w zależności od tego, na co skieruje uwagę, jakie słowo pacjenta zatrzyma i powtórzy, od tego zależy ciąg dalszy. To tak, jakby za dotknięciem spojrzenia i słowa rodziły się lub umierały różne opowieści. Więc skąd brać pewność, że opowiadając historię, powiemy tę właściwą? Co to znaczy „właściwą”?¹⁶ I czy zawsze trzeba ją opowiadać? Przecież z faktu, iż można o czymś mówić, nie wynika wcale, że mówić trzeba, niektórzy sądzą, a myśl ta szczególnie jest mi bliska, że można wypowiadać to tylko, co można ocalić (zob. Starobinski, [w:] Jaccottet, 2005, s. 6)¹⁷. Skąd więc wiemy, powtórzę pytanie, że wydarzenie potrzebuje naszych historii? Zapewne my ich potrzebujemy, a zwłaszcza wtedy, gdy chcemy słowami oddalić się od doświadczenia, bo o tym, że słowa to potrafią, przekonuje nas nie tylko doświadczenie terapeutyczne. Choćby taki skromny dowód: większość baśni kończy się zdaniem: „I żyli długo i szczęśliwie”. O tym, jak żyli szczęśliwie, baśń milczy. Bo po co oddalać się od szczęścia słowami? Lecz jeśli się powie, że opowiadając historie, oddalamy się od doświadczenia, trzeba koniecznie dodać: istotny sens narracji, choć sens nie jedyny, kryje się nie w reprezentowaniu rzeczywistości, ale w dystansowaniu się od doświadczenia¹⁸.

Na koniec przywołam historię, która ujawni najważniejszy, moim zdaniem, aspekt wydarzenia, jakim jest spotkanie pacjenta z terapeutą i ich rozmowa, a przy tym być może niezauważany, jeśli oczekuje się od tego wydarzenia, że będzie przede wszystkim okazją do narracyjnej rekonstrukcji i dekonstrukcji doświadczenia.

Rzecz działa się latem, nad Morzem Kreteńskim, nad Zatoką Kissamos, gdzie spędzałam część wakacji. To był bardzo wietrzny dzień,

¹⁶ Ilekroć stawiam to pytanie, przypomina mi się zdumiewająca klasyfikacja zwierząt zapisana, jeśli wierzyć J.L. Borgesowi, w pewnej encyklopedii chińskiej, wedle której zwierzęta dzielą się na: „a) należące do cesarza, b) zabalsamowane, c) tresowane, d) prosięta, e) syreny, f) fantastyczne, g) bezpieczeństwa psy, h) włączone do niniejszej klasyfikacji, i) miotające się jak szalone, j) niezliczone, k) narysowane cienkim pędzlem z wielbłądziego włosia, l) *et cetera*, m) które właśnie rozbiły wazon, n) które z daleka podobne są do much (zob. Borges, 1998, s. 110–111). Z jednej strony, oburzenie myśli: tak przecież nie można, z drugiej, a właściwie czemu nie? I lawina pytań wywołana naiwnym „co znaczy myśleć właściwie”.

¹⁷ W *Wędrowcu i jego cieniu* F. Nietzschego odnaleźć można nawet myśl, że „należy mówić tylko tam, gdzie się milczeć nie powinno, reszta jest gadaniną” (zob. Nietzsche, 2003, s. 5).

¹⁸ Do konkluzji podobnej, aczkolwiek z innych przesłanek czerpiąc, dochodził M. Foucault w *Słowach i rzeczach*. Pisał tam m.in., że opowieści są dziećmi utopii „niosącymi pocieszenie, choć realnie nie mają miejsca, rozkwitają w cudownej i jednolitej przestrzeni – oferują miasta z szerokimi ulicami, uprawne ogrody i gościnne krainy, nawet jeśli dostęp do nich bywa utrudniony [...]. Utopie zezwalają na opowieści i dyskursy, wywodzą się bowiem wprost z języka, z fundamentalnego wymiaru fabulae” (zob. Foucault, 2000, s. 11).

morze było silnie wzburzone. Stałam na brzegu i patrzyłam, jak moje dzieci i mąż „walczą z falami”. W pewnej chwili zauważyłam przedzierającego się do nich przez fale greckiego chłopca, może dziesięcio-, dwunastoletniego (widziałam, jak wcześniej siedział na plaży z kimś, kto mógł być jego starszym bratem, beznogim mężczyzną). Chłopiec, gdy był już ich całkiem blisko, zaczął żywo gestykulować, najwyraźniej do nich coś mówił. I tak było przez następnych kilkanaście minut. Gdy już wyszli z wody, dowiedziałam się, że ten grecki chłopiec cały czas do nich mówił. Musiał wiedzieć, że nie są stąd, że nie rozumieją greckiego, oprócz słowa *petros*, które często powtarzał, a jednak bez przerwy do nich mówił. Jakby wcale nieważne było dla niego, czy go zrozumieją.

Gdy teraz przypominam sobie tamto zdarzenie, myślę, że coś podobnego wydarza się w czasie spotkania pacjenta z terapeutą, także tym zapisanym przeze mnie na początku. Obaj, wcześniej czy później doświadczyć muszą granic wzajemnego rozumienia (zwykle wtedy, paradoksalnie, gdy wiele historii zostanie już opowiedzianych, jakby trzeba było wcześniej doświadczyć możliwości wyrażania doświadczenia w opowiadanych historiach po to, by później, gdy już opowiedziane, rozpoznać, że w żadnej z nich doświadczenia nie ma, że ostatecznie jest ono nieopowiadalne, a każda próba wtłoczenia go w opowieść mającą początek i koniec, fałszuje je, pomija bowiem to, co niepojmowalne: niedające się pochwycić i związać słowami żadnej historii). Ale jednak, pomimo tego doświadczenia, nie przestają do siebie mówić. Rozmawiają dalej. Tak jak ten grecki chłopiec. Bo pewnie najistotniejsze w mówieniu jest to, że ktoś słucha. Nie to, że rodzą się i umierają opowieści zastępowane przez inne (lepsze? ciekawsze? właściwsze?), ale że jest się wysłuchanym. Grecki chłopiec nie mógł być wysłuchany przez brata – ten został na brzegu, więc mówił do tych, którzy mogli posłuchać.

Żadna historia nie zostałaby opowiedziana, gdyby nie obecność kogoś, kto słucha. I doświadczenie tego słuchania w procesie psychoterapii wywołuje, jak sądzę, ów cud komunikacji, który sprawia, iż ludzie do siebie mówią, a mówiąc do siebie, siebie zmieniają, choć muszą przecież wiedzieć, że ich doświadczenie jest nieprzekazywalne.

Jako terapeuta często jestem świadkiem tego cudu: spotykam się z pacjentem, z rozproszonych i nieczytelnych znaków próbuję złożyć jasny jego obraz. Dążę do poznania pacjenta, by widzieć go wyraźnie i bez uprzedzeń. A gdy w końcu go widzę, ukazuje się **innym** lub **gdzie indziej**, nie taki i nie tam, jakim zaprojektowało go moje patrzenie, słuchanie i mówienie. I rozpada się misternie składany obraz i okazuje się, o czym wcześniej mogłam nie mieć pojęcia, jak w gruncie rzeczy przypadkowo krzyżowały się moje słowa z moimi myślami, jak

przypadkowo słowa te stykały się z jego słowami, nigdy nie dosięgając jego myśli i przeżyć, bo podobnie jak moje są jak kartki na wietrze przewracane na drugą stronę. I wtedy dociera do mnie wyraźnie, co liczy się najbardziej w tym naszym spotkaniu: obecność kogoś, kto słucha.

Postscriptum

Są miłośnicy jednej historii, są też miłośnicy wielu, ale też są i tacy, którzy nie opowiedzą żadnej, z obawy, że ich zastąpi.

Bibliografia

- Bernhard T. (2005). *Dawni mistrzowie*. Warszawa: Czytelnik.
- Borges J.L. (1998). *Eseje zebranem*, t. II. Warszawa: Lobos.
- Foucault M. (2000). *Słowa i rzeczy. Archeologia nauk humanistycznych*. Gdańsk: Słowo/obraz terytoria.
- Gadamer H.G. (2003). *Język i rozumienie*. Warszawa: Wydawnictwo Aletheia.
- Jaccottet P. (2005). *Ten, który wie*. Izabelin: Świat Literacki.
- Jaspers K. (1990). *Filozofia egzystencji*. Warszawa: PIW.
- Krapiec M.A. (1993). *Odzyskać świat realny*. Lublin: Towarzystwo Naukowe KUL.
- Lévinas E. (2000). *Imiona własne*. Warszawa: Wydawnictwo KR.
- Matvejević P. (2005). *Inna Wenecja*. Sejny: Pogranicze.
- Merleau-Ponty M. (2001). *Fenomenologia percepcji*. Warszawa: Fundacja Aletheia.
- Nietzsche F. (2003). *Wędrowiec i jego cień*. Kraków: Wydawnictwo Zielona Sowa.
- Oz A. (1999). *Opowieść się rozpoczyna*. Warszawa: Prószyński i S-ka.
- Ricoeur P. (1989). *Język, tekst, interpretacja. Wybór pism*. Warszawa: PIW.
- Ricoeur P. (1992). *Filozofia osoby*. Kraków: PAT.
- Stasiuk A. (2004). *Jadąc do Babadag*. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne.
- Tabucchi A. (2005). *Tristano umiera*. Warszawa: Czytelnik.
- Weil S. (1996). *Świadomość nadprzyrodzona*. Warszawa: PAX.
- Wittgenstein L. (2000). *Dociekania filozoficzne*. Warszawa: PWN.